



JAKUB RAWEN

CRUCIFIXIO
POLSKI RAUSZ

Jakub Rawen

CRUCIFIXIO. POLSKI RAUSZ

Wydawnictwo Horyzont Idei, Damian Tarkowski, Polskie Wydawnictwa Niezależne, Toruń 2023 r.

www.hoid.pl www.sklep.hoid.pl

Facebook.com/HORYZONTIDEI

E-mail: kontakt@hoid.pl

© Jakub Rawen & Wydawnictwo Horyzont Idei, Polskie Wydawnictwa Niezależne, Toruń 2023 r.

*W wodzie wszystkich oceanów nie ginie tyle okrętów, ile
szczęścia tonie w małych kieliszkach...*

Henryk Grudziński (Gralski)

XIII. TO BYŁO ZŁUDZENIE.

Urlopowe dni mijały szybko. Beata nadal milczała, a ja, nie mogąc sobie poradzić z coraz bardziej przytłaczającym mnie życiem, nie rozstawałem się z alkoholem. Raz i drugi korciło mnie, by zadzwonić do żony, jednak obawiałem się, że telefon odbierze ktoś z teściów i co wtedy powiem? Przecież widzą, co się dzieje. Na pewno usłyszałbym od nich kilka przykrych słów, a pewnie jeszcze i Beata dołożyłaby kolejne.

Coraz bardziej byłem zły na siebie, bo w końcu mając jeszcze jako taką świadomość, zdawałem sobie sprawę, że żona nie wybaczy mi pijaństwa. Rozumowałem tak: wyjechała nie tylko, by mnie ukarać, ale także po to, żebym nabrał rozumu. Raz na zawsze się opamiętał! Może nawet poszedł do poradni i rozpoczął leczenie, na pewno ucieszyłaby się z takiego mojego postępowania. A jaki osiągnęła rezultat? Co ja robię? – postawiłem sobie trudne pytania i zaraz na nie odpowiedziałem: z dnia na dzień pogarszam swoją i tak beznadziejną sytuację. Wszystko wskazuje na to, że zostawiła mnie pijącego i takiego samego zastanie.

– Niczego, kurwa mać, nie nauczyłem się przez tych kilka dni! – zareagowałem głośno, bo znienawidziłem siebie.

Stopniowo dochodziłem do ostatecznego wniosku, że jestem przegranym, niewiele wartym człowiekiem, którego nie da się wyrwać z odmętów nałogu. Czułem, że dobijam do brzegu morza, na którym zamiast piasku leżą stosy butelek...

Nie potrafiłem już rozsądnie myśleć.

Każdego dnia, gdy budziłem się skacowany i półżywy ogarniał mnie coraz większy strach, już nie tyle przed żoną, co przed... śmiercią. Czułem,

że kostucha jest blisko. I może dobrze, dzięki niej zakończę parszywy los.

Złe, zbyt beztroskie było moje życie kiedyś, a teraz jest jeszcze gorsze. Przez nałóg znalazłem się w matni, z której nie ma wyjścia. Ile musiałbym żonie złożyć przysięg, ile godzin przekląć, by jeszcze raz we mnie uwierzyła? To jest niemożliwe, już jest za późno... – rozmyślałem któregoś dnia nad ranem, gdy nie miałem sił, by wstać z łóżka. Już nie da się zszyć ran, które zadałem Beacie. Tyle razy prosiła, błagała, straszyla i... nic dotąd z tego nie wyszło. To i nigdy nie wyjdzie. Teraz, bydlaku, dobijaj do brzegu, na którym zamiast piasku leżą butelki... Lej łzy, niech wypełnią każdą, którą opróżniłeś. I niech będzie ci najprzykrzej, jak tylko może być człowiekowi, a odbijające się od szkła promienie słońca niech cię oślepią, żebyś nigdy już nie widział płaczącej żony. Dlaczego nie czekałem na Beatę, jak odpowiedzialny mąż? Dlaczego nie wsiadłem do pociągu i nie pojechałem do niej? Ponieważ ważniejszy był alkohol! Mimo że cierpiałem, że prawie już czołgałem się po ziemi, to on nadal wygrywał z Beatą i synkiem, których przecież kochałem. Oblęd! Mój drogi – snułem dalej przygnębiającą refleksję – co ty wiesz o miłości? Chyba niewiele. Gdybyś naprawdę kochał, zrobiłbyś wszystko dla żony i dziecka. Góry poprzenosił! W kościele podczas niedzielnej mszy do Boga byś się zwrócił, powiedział Mu, że kochasz Go za to, że uczynił cię szczęśliwym, bo masz żonę i dziecko. Piotr, gdybyś naprawdę kochał przestałbyś pić.

Kończąc niełatwe rozmyślenia przypomniałem sobie zdanie z przychodni alkoholowej: *Droga do trzeźwości, tak jak do miłości, wiedzie przez wyrzeczenia*. Boże kochany, niby to wszystko wiem, a jednak idę złą drogą. Uzależnienie osłabia mnie (rządzi moim ego!) do tego stopnia, że nie mam chęci ani odwagi pójść do spowiedzi, a potem przyjąć do siebie Jezusa i razem z Nim czekać na Beatę i synka.

Trwałem, coraz słabszy z dnia na dzień. Powoli przestawałem odróżniać dzień od nocy. Mój świat stawał się jednobarwny, szary, zamglony i bezdźwięczny. Chyba byłem coraz bardziej otępiały. Nieobecny. Próbowałem jeszcze szukać ratunku w modlitwie, ale coraz częściej było tak, że zacząwszy pacierz z pokorą, już po chwili miałem pretensje do Boga, że skazał mnie na taki los.

Na moje szczęście mimo smutku, jaki był we mnie, zdarzały się dodające sił chwile, krótkie, ale były. Głównie nocą, gdy mając problem

z zaśnięciem wstawałem z łóżka, by dla uspokojenia nerwów popatrzeć przez okno.

To wtedy, w jakby zakłamanej, przesadnej ciszy i w niewłaściwym rozumieniu własnego losu, raz i drugi wydawało mi się, że moje życie toczy się normalnie...

Niestety, to było jednak złudzenie.

XIV. ROKI-CIOS.

Dzień przed sylwestrem około południa z trudem podniosłem się z kanapy i z jeszcze większym wysiłkiem stanąłem na nogi. Miałem za sobą kolejny wieczór i trochę nocy w barze.

Po kąpieli i pozbyciu się (w końcu!) opatrunku, domowe obowiązki zacząłem od... wypicia piwa, a potem dość długo szukałem numeru telefonu do Fabiana. W końcu wybrałem numer. Sporo kosztowała mnie ta rozmowa, głównie dlatego, że musiałem powiedzieć trochę prawdy o swoim obecnym życiu, o kłótni z żoną i jej wyjeździe, a także swoim piciu. Kolega był mocno zdumiony, iż nie dość, że dzwonię po długim czasie i w ostatniej chwili, to jeszcze – w niełatwej dla mnie sytuacji – chcę pojawić się na sylwestrowym balu. Starał się jednak mnie zrozumieć, nie pytając o dalsze szczegóły. Po krótkiej ciszy w słuchawce gitarzysta obiecał, że spróbuje coś załatwić.

– Lekko nie będzie, bo już dawno wszystkie karty się rozeszły – wtrącił i zaraz zapytał: – Piotr, jeśli mi się uda i przyjdiesz, to czy zagrasz z nami parę kawałków, jak za danych lat...?

Zatkało mnie. Czegoś takiego się nie spodziewałem, chociaż w pijanych zwidach nieraz o tym marzyłem... – Fabian, mówisz poważnie...? – odezwałem się po chwili.

– Jak najbardziej – rzekł.

– Nie wiem czy dam radę, w końcu długo nie będę miał...

– Tego się nie zapomina – szybko wtrącił muzyk. I pewnie miał rację.

– Zobaczymy, jak się wszystko potoczy – skwitowałem. Mimo że czasem myślałem o perkusji, to wyłącznie o postukaniu sobie dla

przyjemności, a nie grze z zespołem. Propozycja jednak mile mnie zaskoczyła. Chyba powinienem dać radę, może nawet zdecyduję się na solówkę, jak za dawnych lat...

Fabian na koniec rozmowy obiecał, że może jeszcze dziś się odezwie. – Piotr, jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, musisz być w Laworcie przynajmniej pół godziny przed dwudziestą, zanim rozpocznie się bal. Musimy trochę pogadać, a i właściciel lokalu, ten sam zresztą co kiedyś, chce ci uścisnąć rękę. Posadzimy cię w dobrym towarzystwie – zakończył. Podziękowałem i w tym samym momencie pomyślałem, iż to wcale nie jest pewne, że pójdę na bal.

Jakimś cudem – pijąc codziennie mniej lub więcej – przeżyłem urlopowe dni. Mieszkanie opuszczałem wyłącznie po zapadnięciu zmroku, żeby zrobić zakupy, w których dominował alkohol. Skacowany każdego dnia, zupełnie przestałem przejmować się sąsiadami. Nawet, gdy z trudem mijałem kogoś na schodach, nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. A niech taki jeden czy drugi myśli o mnie, co chce. Moje życie, mój problem. I wara od niego!

Nikogo nie pobiłem i nie obraziłem, a to, że nie zawsze reagowałem na pozdrowienia wynikało nie z braku kultury, lecz celowego, zaplanowanego milczenia. Po prostu obawiałem się, że gdy odezwę się na przykład do takiej pani Jadzi czy Ani albo pana Adama lub Mietka, to zaraz każde z nich będzie próbowało nawiązać rozmowę, a na to nie miałem najmniejszej chęci. Nie dlatego, że nie miałbym o czym rozmawiać, powód był natury higienicznej, po prostu każdego urlopowego dnia nieprzyjemnie „pachniało” mi z buzi.

Nie do końca w pełni świadomy otaczającej mnie rzeczywistości, w jakiejś jednak mierze zdawałem sobie sprawę, że większość współlokatorów wiedziało o moim alkoholowym problemie i małżeńskich rozdźwiękach, ale będąc nawet na dużym rauszu pilnowałem się, by przypadkiem nie „wyspowiadać” się komuś z moich kłopotów. W przyływach najmniejszej psychicznej normalności zakładałem, iż być może z tych, którzy mnie obserwują, nie każdy jest do mnie wrogo nastawiony. Świadczyłoby o tym chociażby sporadycznie wypowiedane podczas mijania się na schodach „dzień dobry”. Mało tego, zdarzało się, że po pozdrowieniu, na które przeważnie nie odpowiadałem, padało

pytanie, „jak się czuję?”. Wówczas tym bardziej udawałem głuchego i – z trudem, bo z trudem – przyspieszałem kroku. Nie wykluczałem jednakże, że pytający może i miał dobre intencje, ale ja w to ani trochę nie wierzyłem. To na pewno jest pytanie podchwytliwe, odpowiadałem wówczas temu komuś w myślach. Przecież każdy kto tak pyta, doskonale wie albo przynajmniej się domyśla, jak czuje się ktoś, kto chla codziennie.

W przededniu sylwestra czułem się źle, jednakże pomysł zadzwonienia do Fabiana i to, że być może będę na zabawie, dodawało nieco sił. Postanowiłem wziąć się w garść. Przecież muszę jutro jakoś wyglądać, nie pójdę na bal jak łązega. Wiedziałem przecież, że w Laworcie (tak było zawsze na szczególnych balach) bawić się będą bogate snoby, często z niezbyt imponującym *intelligence quotient*.

Grałem wiele razy dla lokalnych nowobogackich, którzy nie dość że z trudem radzili sobie z nożem i widelcem, to jeszcze, gdy już sporo wypili, potrafili obrzucić nas inwektywami, gdyż nie podobało się im, że gramy „jakieś tam nieznane zagraniczne szlagiery”. A oni chcieliby *Szła dziewczeczka* lub *Hej, sokoły* albo – jak wykrzykiwała niegdyś jedna „dama” – coś takiego, żeby można było i potańczyć i pośpiewać, taką na przykład polkę *Usia siusia!* Próbowaliśmy spełniać oczekiwania parweniuszy, ale nie zawsze do końca nam to wychodziło, bo utworów w stylu *usia siusia* niewiele mieliśmy w repertuarze.

To chyba na pierwszym sylwestrze w Laworcie, gdy zderzyłem się z tłumem nowobogackich chamów, przyszła mi do głowy myśl, że chyba na świecie nie ma nic gorszego od podpitej żony nadzianego ćwoka. Dlaczego? Otóż, muzyczny los najbardziej „umilały” nam takie właśnie panie. Wcześniej grałem na wielu zabawach i dancinach, także na weselach, ale takiego popisu grubiaństwa, jaki miał miejsce mojego pierwszego sylwestra w tym lokalu, nigdy nie spotkałem. Dobrze, że zarobek wynagradzał wszelkie inwektywy i inne nieprzyjemne zdarzenia. Tajemnicą poliszynela było to, że snobów w ogromnym stopniu do Laworty przyciągał damsko-męski striptiz.

Schudłem przez ostatnie dni. Ulubione spodnie stały się za luźne nie tylko w pasie, a marynarka wisiała na mnie, jak na zdeformowanym

manekinie. Ze smutkiem stwierdziłem, że degrengolada dopadła nie tylko umysł, ale i ciało.

Wieczorem postanowiłem wziąć się za porządki, nim jednak sięgnąłem po odkurzacz zadzwonił Fabian i poinformował, że mam załatwione wejście na bal.

– Pamiętaj, bądź około pół do ósmej – przypomniał i pożegnaliśmy się.

Nie podskoczyłem z radości, ale było mi miło, że tak się stało. Cóż, zobaczymy, jak będę czuł się jutro, pomyślałem i natychmiast wróciłem myślami do żony, nie wykluczałem, że może wrócić nazajutrz. I chyba nie bardzo mnie to cieszyło.

Po jako takim sprzątnięciu mieszkania i wypiciu piwa, około dziewiątej postanowiłem wynieść śmieci, w tym torbę butelek od najróżniejszych trunków. Przy kontenerze ustawionym w pobliżu lampy natknąłem się na kiepsko ubranego i nieogolonego mężczyznę, grubym drutem grzebał w śmieciach i akurat zaczął wyciągać puszkę po piwie. Zapytałem czy interesują go butelki po piwie i wódce?

– Ma się rozumieć... daj pan... Masz pan papierosa?

Klepnąłem się po kieszeniach, miałem. – Niech pan weźmie – podałem mu niemal pełną paczkę. Wziął bez słowa i zapalił. Dawno z nikim nie rozmawiałem, pomyślałem zatem, że chwilowa pogawędka dobrze mi zrobi, tylko czy gość zechce wziąć w niej udział?

– Mam jeszcze trochę w domu, pójdę i przyniosę. Poczekaj pan?

– No pewnie.

Po powrocie przekazałem mu w reklamówce kilka butelek, ucieszył się. W tym momencie rozejrzał się po osiedlu i zamiast położyć reklamówkę na zdezelowanym dziecięcym wózku, który służył mu do wożenia najróżniejszych „surowców”, ukrył ją pod kontenerem. Zauważył, że mnie to zdziwiło.

– Muszę się pilnować i trochę kombinować... kurwa mać... bo niedługo małym fiatem nadjedzie nasz... mój i innych chłopaków pieprzony brygadzysta Roki-Cios i zabierze wszystkie butle, to muszę coś schować dla siebie. – Spalił papierosa i zaraz sięgnął po drugiego.

– Zabiera wam butelki? – zdumiałem się.

– Panie, inne rzeczy też, wszystko to, co da się sprzedać, przetopić, przerobić... Już ze dwa lata, od kiedy wyładowałem na ulicy po wywaleniu

mnie z domu przez dzieci. Panie, z Rokim-Ciosem nie ma żartów, jest najsilniejszy wśród nas śmieciarzy. Podobno kiedyś zbierał różny szmelc jak ja teraz, ale potem wylądował w pierdlu za coś grubego. Panie, mówią, że cały czas ćwiczył boksowanie i jakieś tam emema, to każdy się go boi. Tylko raz mu się sprzeciwiłem, to jak mi jebnął z nogi aż w samą głowę, to podobno godzinę leżałem bez ruchu, aż w końcu koleś postawili mnie jakoś na nogi. A łeb to bolał mnie z miesiąc.

Byłem w szoku. Nie mogłem pojąć, jak kryminalista może w taki sposób wykorzystywać bezdomnych ludzi, którzy starają się jakoś żyć? Podzieliłem się uwagami z kloszardem.

– A może, panie, może. A najciekawsze jest to, że Roki ma firmę w mieście, ponoć całkiem dobrze działa, ale mu widać mało, to nocą jedzie po nas i zabiera – gość pociągnął nosem. Czyżby się rozplakał? Spojrzałem mu w twarz, nie zauważyłem łez. Wyciągnąłem chusteczkę, podałem.

– I nic nie da się zrobić z tym... jak mu tam... Rokim?

– A niby co? Żeby się od niego uwolnić, trzeba by go zabić, a kto niby miałby to zrobić, na pewno nie ja... Raz paru naszych chłopaków zmówiło się, zaczęło i rzuciło na niego... i co? Wszystkim tak wpierdolił, że się czołgali po ziemi. Roki-Cios kazał im swoje buty całować i przyrzekać, że już więcej nie zrobią na niego zamachu... Panie, a wie pan, co ten biznesmen zrobił parę dni później, kupił sobie psa-mordercę, objechał z nim swój rewir

i kazał nam dobrze napatrzeć się na bestię, którą nazwał Det, a to ponoć po angielsku

znaczy śmierć, objaśnił nam. Roki odjeżdżając zdążył jeszcze powiedzieć, że jak teraz któryś z nas zakombinuje z towarem, to będzie miał do czynienia nie z nim, tylko z tym jebanym Detem. Rozumisz pan teraz, w co my gramy...?

Było mi żal człowieka, nie dość, że dzieci wyrzuciły go z domu, nie dość, że chodzi po śmietnikach, to jeszcze pieprzony Roki go okrada. Bardzo mi się to nie podobało. Nie miałem jednak pomysłu co zrobić, by pomóc jemu i jego kolegom. Poprosiłem o papierosa, usiedliśmy koło kontenera na betonowym krawężniku, ale szybko się podnieśliśmy, bo był zimny. Facet sięgnął po tekturę na wózku, złożył ją raz i drugi:

– Teraz będzie lepiej – rzekł kładąc ją na to samo miejsce z dopiero co wstaliśmy. Usiadłszy, jednocześnie zaciągnęliśmy się dymem i przez krótki czas milczeliśmy. Przygnębiony historią człowieka pomyślałem, że jak dalej będę żył tak, jak w ostatnich dniach, to kto wie, czy nie czeka mnie to samo. – Wzdrygnąłem się.

– Długo już tak pan buszuje? – przerwałem ciszę.

– Przecież już mówiłem, że jakieś dwa lata... Jak te nasze złodzieje z miasta sprzedali cukrownię Niemcom. Szwaby po paru miesiącach takich jak ja fizoli powywalali na ulicę. Dali trochę pieniędzy i raus! Panie, ja nie mam ani renty ani emerytury, za mało ponoć pracowałem, bo z poprzedniego zakładu zagubili moje papiery – przerwał, zapalił. – To po co dzieciakom taki ojciec bez pieniędzy, to mnie wygonili, szczególnie ta wredna synowa na mnie polowała, nienawidziła mnie, że darmożadem jestem, by ją szlag trafił... Resztę pieniędzy mi zabrali, znaczy syn i synowa, trochę potrzymali mnie w mieszkaniu, a potem kopa w dupę i wypędzili... gorzej jak psa, bo jeszcze postraszyli, że jak wrócę to zadzwonią po policję... że ich okradłem niby...

– To gdzie pan śpi?

– Różnie, przeważnie w schronisku u Alberta, ale tam trzeba być trzeźwym, badają w korytarzu czy się wypiło... Ja na szczęście rzadko daję w szyję, bo nie bardzo mam za co... To co zbieram starczy za ledwie na jedzenie i jakieś ciuchy z lumpeksu...

– A jak nie w schronisku, to gdzie? – dociekałem.

– Jak jest ciepło to na dworze, w tym lasku niedaleko tego osiedla, mamy tam we trzech szałasik, nawet kuchenka jest... A jak zimno to jest gorzej, czasem jakiś kolega po fachu użyczy wyra w domku na działce, gdzie nielegalnie mieszka... lekko, panie, nie jest – sztachnął się tak mocno, że aż się zakrztusił.

– Na zbieranie namówił mnie Lechu... – gadał dalej po dłuższej chwili. – Razem pracowaliśmy w tej cukrowni, gdzie kierownicy kantowali nas na każdym kroku. Darli na nas te swoje mordy, a jak któryś jeszcze z nas narzekał, to proszę bardzo droga wolna, do kadr i wynocha. Panie, tak zrobiła z nami ta zasrana demokracja, chleb odebrała, na śmietnik wyrzuciła...

– Smutne, ale wiem, że tak było – poparłem nietypową rozmówcę.

– A gdzie jeszcze pan mieszka? – zapytałem i stanąłem obok kontenera.

Oryginalny interlokutor siedział dalej.

– Czasem u Janki, w takiej starej kamienicy koło stadionu, pieca nawet tam nie ma,

ale ona jest dla mnie dobra. A jakie, panie, naleśniki smaży, palce lizać. Chłopaki... znaczy najlepszych trzech moich kumpli, jak się czasem ode mnie dowiedzą, że jutro mam te

placki, to pod okno przychodzą i wołają, żeby Janka rzuciła im choć po jednym. I wie pan, że ona nie rzuci, tylko zejdzie do nich z talerzem i nawet kompotu da... takiego z mirabelek, bo nikt ich w mieście nie zbiera, ale ja tak i Jance znoszę. O, żeby pan widział, jak te moje kumple zajadają, ucztę mają jak król, i wcale nie po jednym naleśniku dostają, a nawet po trzy dla każdego, przeważnie z marmoladą, bo tańsza, niż ten twaróg. Dobra z tej Janki kobiecina...

– Zarobi pan na tym zbieraniu?

– Już mówiłem, że na jedzenie i ciuchy, które muszę mieć, bo w niedzielę staram się choć jedną nogą wejść do kościoła, chociaż trochę się pomodlić, a nuż Chrystus ulituje się nade mną i poprawi los... Panie, ciężko jest, ale jak się człowiek dobrze uwija i mimo strachu uda mu się coś zakombinować przed Rokim-Ciosem, to dwie, trzy dychy ma. A pan to chyba nie zbiera po śmietnikach?

Słyszając pytanie, aż głęboko westchnąłem. – Wyglądam na takiego...?

– Jakby się panu dobrze przyjrzeć, to marność ma pan na twarzy, kłopoty...?

– Owszem.

– Przez wódę albo przez babę, albo przez jedno i drugie, innej drogi w życiu nie ma.

– Tak pan myśli? – ja na to, bo gość zaciekał mnie stwierdzeniem.

– Ja wiem, a nie myślę.

– Skąd?

– Od siebie i od chłopaków, a jest nas w tym mieście dużo, nikt nas jeszcze

nie policzył, ale setka będzie albo i więcej, to każdy z nas ma jakąś historię, jakieś doświadczenie z kobietą i wódą, to se czasem opowiadamy. Trochę już mi zimno... – wtrącił zniechęcony i ciągnął dalej: – Panie, my nawet grilla sobie potrafimy zrobić nad rzeką w krzakach, ostrożnie, na czatach zawsze ktoś stoi, żeby nas te jebane psy na dwóch nogach

nie wywęchały, i wtedy gadamy... o życiu... Ma się rozumieć, że każdy o swoim, bo, tyle to pan na pewno wie, nie da się opowiadać o życiu kogoś, kim się nie było. Panie, najwięcej to gadamy o tym, co już było, co się przeszło, strawiło, potem trochę o tym, co jest teraz, a o tym, co będzie... to prawie wcale, bo, panie, jak można gadać o czymś, czego się nie wie.

Co za oryginał, pomyślałem. Zaczynałem lubić człowieka. Zapytałem o imię, odpowiedział, że Edek. Już miałem go zapytać, ile ma lat i jak zamierza dalej żyć, gdy nagle zerwał się z krawężnika, butem rozdeptał niedopałek.

– Idź już pan, słyszę samochód Rokiego, stary grat się zbliża... Jedzie, muszę być sam i oddać mu com uzbierał, oprócz ukrytej reklamówki...

Nie miałem wyboru.

– Panie Edwardzie, wszystkiego dobrego w Nowym Roku, niech się pan trzyma. Może się jeszcze zobaczymy?

– Pan też niech się trzyma... a imię, bo nie wiem...

– Piotr.

– Jak ten święty, co kazał się ukrzyżować głową w dół...

Byłem zdumiony, że o tym wiedział.

Wolno wracałem do domu.

W odurzonej alkoholem głowie pojawiła się myśl, że i ja powinienem być ukrzyżowany.

XV. POGRZEB.

Kopałem dół niewielki, niezbyt głęboki, łopata co rusz wypadła mi z rąk. W ogóle była jakaś dziwna, raz sztywna, to znowu giętka, jakby z gumy. Marnie szło kopanie. Wcześniej obok sąsiedniego, oddalonego o jakieś dwa metry starego grobu ułożyłem bębny: centralny, werbel, tom-tomy, następnie talerze – hit hat, crash-ride oraz osprzęt – statywy, stopę, stołek, uchwyty i oczywiście pałki...

To był pogrzeb mojej perkusji. Wystarczy już grania, koniec!

Raptem, na moment się prostując, dostrzegłem księdza, pojawił się nie wiadomo skąd. Był dość wysoki i gruby.

– Człowieku, co robisz na moim cmentarzu? – zapytał patrząc na mnie z góry.

– Nie widzi wielebny, że kopię dół, będę grzebał perkusję...

– Chyba pan oszalał, to miejsce dla zmarłych ludzi, a nie dla instrumentów.

– Moja perkusja ma duszę, jak człowiek, dlatego zostanie tu na wieki – wygramoliłem się z dołu. – Koniec z graniem, żona nie pozwala.

– Jeszcze czegoś takiego w życiu nie widziałem! Perkusję chować obok ludzi! Pan oszalał!

– Możliwe... ale tak postanowiłem i zdania nie zmienię – powiedział spokojnie, bo nie chciałem bardziej rozsierdzić kapłana.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

– Skąd się pan w ogóle wziął? Człowieku, wszystkie sprawy związane z nekropolią prowadzę ja i ktokolwiek zamierza coś tu robić, wcześniej musi uzgodnić ze mną. Proszę natychmiast przestać, zakopać dół, zabrać

to wszystko i opuścić cmentarz. Chyba sam zły duch tu pana przywiódł... Zaraz pokropię święconą wodą pana i instrument.

Już miałem chwycić go za rękę, gdy... znikł! Przepadł! A niech go święci szukają, pomyślałem i rozejrzałem się dokoła, a po chwili zerknąłem w dół, o dziwo nie było w nim łopaty, tylko elegancko poukładane części perkusji. Istne cuda! Co tu się u licha dzieje?!

Musiałem jak najszybciej zakopać dół, żeby zdążyć przed ewentualnym ponownym pojawieniem się księdza. Jednak wcześniej klęknąłem i odmówiłem krótką modlitwę w intencji instrumentu, następnie powierzyłem go opiece świętej Cecylii, patronce śpiewaków i muzyki. Powstawszy z kolan wziąłem garść piasku i rzuciłem na bębny i cymbały, usłyszałem leciutki trzask, widocznie trafiły się kamyczki, pomyślałem. Niełatwe to było rozstanie. Zbierało mi się na płacz.

Bojąc się, że w każdej chwili klecha może powrócić, złapałem za łopatę. Zanim jednak zacząłem zasypywać dół, sięgnąłem po jedną z pałek, postanowiłem ostatni raz mocno uderzyć w największy talerz, tak, aby dźwięk rozszedł się jak najdalej. Może ktoś akurat przechodzący w pobliżu usłyszy go i niesiony ludzką ciekawością przyjdzie na cmentarz i pomoże mi umocować w ziemi krucyfiks, który stał oparty o pobliskie drzewo.

Uderzyłem i... poczuwszy ból, obudziłem się. Bolała mnie prawa ręka.

CRUCIFIXIO. POLSKI RAUSZ

XIII. TO BYŁO ZŁUDZENIE.	2
XIV. ROKI-CIOS.	5
XV. POGRZEB.	13